

[TOP12 w 2025] Kazimierz Moczarski – inteligent polski, pragmatyczny romantyk. Rozmowa z Elżbietą Moczarską

Lubił kwiaty, poezję, sam zresztą pisywał wiersze. Miał niewątpliwie i rys romantyka, cenił samotność, introspekcję. Kochał kobiety! Zwłaszcza inteligentne, o których zawsze wyrażał się z szacunkiem i podziwem. Z tym wszystkim w parze szło umiłowanie absolutnej logiki, porządku, racjonalizmu. Intelkt był tą cechą, którą u ludzi cenił najwyżej – mówi Elżbieta Moczarska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Moczarski. Rozmowy z historią”.

Mikołaj Rajkowski: Niedługo po wyjściu z więzienia Kazimierz Moczarski pisze list do Marty Rajchman. „Pytasz o światopogląd – zamiast memoriału odpowiem ci chaotycznie. Co lubię, a czego nie lubię”. Wymienia: nie lubię faszyzmu, dyktatury, tortur, lubię demokrację, wolność i godność człowieka. Ale jakby na tym samym oddechu pisze: nie lubię wieprzowiny i gdy poczta się spóźnia. Lubię teatr, samochody i róże. Tak chyba może myśleć i pisać tylko człowiek faktycznie wolny, dla którego nie ma sprzeczności między dobrym smakiem a poczuciem sprawiedliwości czy słuszności...

Elżbieta Moczarska (prezes Fundacji im. Kazimierza i Zofii Moczarskich):
Taki właśnie był. Ten list zacytowała w biografii mojego ojca Anna Machcewicz, która ustaliła też, kim była adresatka listu, lata wojny spędziła w Szwajcarii, potem zamieszkała we Francji, Marta Rajchman Nie poznałam jej osobiście, do Polski nigdy po wojnie nie przyjechała, ale list czytałam, bo ojciec miał w zwyczaju przepisywać swoją korespondencję i kopia zachowała

się w rodzinnych papierach. Często przyklejał nawet do kopii listu kwitek nadania, ale akurat w tym przypadku się nie zachował. Ten list ojciec napisał w sierpniu 1956 roku, zaraz po wyjściu z więzienia, najprawdopodobniej w sanatorium w Wonieściu, gdzie dochodził do zdrowia. Wiedział, że list będzie cenzurowany, tym bardziej, że był wysyłany za granicę. Jeśli chciał zakomunikować adresatce, co się dzieje w kraju, co przeszedł w więzieniu, co sądzi o sytuacji politycznej – musiał zrobić to między wierszami. Z jednej strony, owszem, była odwilż, ludzie żyli normalnie, chodzili do teatru, kraj się jako tako modernizował – ale przecież nie można było zapomnieć o tym, co działo się wcześniej. Zresztą pisze o tym na tyle otwarcie, na ile mógł sobie pozwolić: „nie lubię więzienia, terroru i gwałtu, miażdżenia palców i przypalania ogniem, wrywania włosów, spłaszczania spętanego bliźniego”.

Także literacko jest to piękny tekst.

Tak. Ojciec nie lubił wielkich słów, frazesów, krasomówstwa. Od razu wietrzył oszustwo, kiedy ktoś mówił zbyt kwiecicie. Używał prostych słów, mówił klarownie i logicznie. Nawet moje wypracowania szkolne poprawiał pod tym kątem. Po wyjściu z więzienia zajął się dziennikarstwem, pracował w „Kurierze Polskim”, czyli popołudniówce warszawskiej. Wtedy prasa codzienna docierała naprawdę do wielu ludzi, słowo dziennikarza wiele znaczyło, mimo że oczywiście było pod czujną kontrolą cenzury. Ojciec był w „Kurierze” szefem działu łączności z czytelnikami. Wówczas oznaczało to nie tylko odpisywanie na listy do redakcji ale przede wszystkim bezpośredni kontakt z ludźmi, którzy przychodzili do redakcji w różnych swoich sprawach. Był to przede wszystkim dział interwencyjny. Ojciec jeździł dużo po całej Polsce, a były to lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, więc ludzie naprawdę mieli rozmaite problemy. Byli prześladowani na tle politycznym, za pochodzenie czy działalność w Armii Krajowej, na co ojciec był oczywiście bardzo czuły, ale sprawa mogła dotyczyć równie dobrze jakiegoś drobiazgu. Zawsze stawał

w obronie poszkodowanych, tylko robił to bez rozgłosu, więc trudno dziś dotrzeć do konkretnych historii. Z „Kuriera” wyrzucili go, kiedy opowiedział się po „niewłaściwej” stronie w konflikcie arabsko-izraelskim w 1967 roku. Wypowiadał się krytycznie o stanowisku rządu i stawał w obronie swoich żydowskich kolegów. Ktoś doniósł, odbył się sąd koleżeński w redakcji, zakazano mu pisania, pozbawiono różnych społecznych funkcji w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich. Zostawiono mu chyba łaskawie jakąś formę etatu, ale do łamów już go nie dopuszczano.

Jak ojciec to zniósł?

Bardzo ciężko to przeżył. To było wielkie rozczarowanie. „Kurier” był gazetą Stronnictwa Demokratycznego, do którego ojciec należał przed wojną, współtworzył pierwszy Klub Demokratyczny, a po wojnie próbował odbudować jego strukturę. Ostatecznie Stronnictwo stało się partią satelicką PZPR, ale należało do niego wielu przyzwoitych ludzi, w tym faktycznie sporo znajomych ojca z czasów przedwojennych, i udało im się wpływać czasem na przepchnięcie jakiejś korzystnej ustawy. Oczywiście, wyrzucenie z pracy to nie tylko straty moralne. Pamiętam, że właśnie wtedy zaczął regularnie odwiedzać nas Jan Józef Lipski, zawsze w sztruksowej kurtce i z wielką torbą przewieszoną przez ramię. Zamykali się w pokoju i długo rozmawiali. Dopiero dużo później dowiedziałam się, że Lipski przynosił w tej torbie pieniądze dla nas. Pomoc materialną zorganizowali wtedy mec. Aniela Steinsbergowa i Jan Józef Lipski. Bez rozgłosu, dyskretnie, tak jak ojciec pomagał innym, tak teraz pomagano jemu. A na pewno było to bardzo potrzebne, bo miał nas dwie na głowie – matka po więzieniu nie odzyskała w pełni zdrowia i nigdy nie była w stanie podjąć pracy, a ja jeszcze niedorośła.

Przeczytaj również: Etos patrioty i świadectwo historii. Rozmowa z Markiem Kornatem

Nie zniechęciło go to jednak do działalności społecznej?

Absolutnie nie. Zajął się wtedy walką z plagą alkoholizmu, redagował pismo „Problemy Alkoholizmu”. Namówił wielu znanych ludzi, żeby wypowiadali się na ten temat, dostał nawet medal za zasługi dla służby zdrowia – z czego był potem szalenie dumny. Ta problematyka była czasami traktowana wówczas trochę niepoważnie przez społeczeństwo, mało kto dostrzegał skalę problemu. Zresztą dziś sytuacja jest niestety niewiele lepsza. Ojciec był bardzo zdeterminowany w tej walce. Dzięki niej zaprzyjaźnił się też z Andrzejem Szczypiorskim, którego usłyszał pewnego dnia w jakiejś radiowej pogadance na temat alkoholizmu właśnie. Wyszukał go natychmiast w książce telefonicznej i umówili się na spotkanie.

Czy utrzymywał bliskie kontakty z przyjaciółmi z czasu wojny? Kto należał do kręgu jego najbliższych przyjaciół?

Jego najbliższymi przyjaciółmi jeszcze z czasów przedwojennych byli Tadeusz Kochanowicz, Jan Rosner czy z lat okupacji hitlerowskiej Józef Rybicki, Wincenty Kwieciński, do tego bliskiego grona dołączył właśnie wspomniany Andrzej Szczypiorski. Ojciec bardzo lubił ludzi, każdego zagadywał, dbał o podtrzymywanie relacji, uwielbiał się spotykać – byle w kameralnych warunkach, bo nie cierpiał bankietów, kongresów i uroczystości w rodzaju „ku czci”. Telefon w domu dzwonił cały czas. Zawsze jednak znajdował czas dla nas, nie wiem, jak on to robił, ale prawie co wieczór wychodziliśmy razem na spacer. Czasem w kierunku ambasady amerykańskiej albo placu Unii Lubelskiej. Pewnego razu jednak ojciec pociągnął mnie za ramię i szybko

przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Powiedział tylko: „Różański”. Potem dowiedziałam się, że to był kat z więzienia na Rakowieckiej, który osobiście aresztował ojca.

Kiedy dowiedziała się pani o tym, co ojciec przeszedł w więzieniu?

Stało się to zupełnym przypadkiem. Musiałam mieć wtedy około dziesięciu lat, bo było to już po wyrzuceniu ojca z „Kuriera Polskiego”. Radio Wolna Europa nadała wówczas o nim specjalną audycję w cyklu „Fakty – Wydarzenia – Opinie”. Specjalnie kupiliśmy tranzystor na tę okazję. Trzeba było ustawić antenę na Pałac Kultury, wtedy łapał odpowiednie fale i można było słyszeć mimo zagłuszenia. Audycja była dość szczegółowa, spiker opowiadał, kim ojciec był w Armii Krajowej, jakie represje spotykają go dziś, no i o więzieniu i torturach rzecz jasna. Tak się właśnie dowiedziałam. Wcześniej wiedziałam tylko o piętach...

Piętach?

Ojciec po domu zawsze chodził w chodakach. Tłumaczył, że odbili mu pięty w więzieniu i nie może nosić innych butów. Nic mi to szczególnie nie mówiło, po prostu był to dla mnie jakiś fakt. Dopiero po wysłuchaniu tej audycji zaczęłam to rozumieć. Ojciec nie chciał na pewno straszyć mnie tymi opowieściami, cieszył się, że może mnie wychowywać. Umarł młodo, miał 68 lat, przeszedł chwilę przedtem na emeryturę ale cały czas był aktywny, działał w Społecznym Komitecie Przeciwalkoholowym, no i ciągle jeszcze pracował nad *Rozmowami z katem*, nanosił ostatnie poprawki na egzemplarze „Odry”. Raka wykryto u niego na dwa miesiące przed śmiercią, z czego miesiąc spędził w szpitalu.

Przeczytaj również: Kazimierz Moczarski, państwowiec w epoce radykalizmu – pisze Michał Przeperski

Czy po wyjściu z więzienia był wciąż na celowniku bezpieki?

Z pewnością. Po 1956 roku rodzice dostali mieszkanie w Alei Wyzwolenia – niezbyt duże ale słoneczne i wygodne, mieszkam w nim zresztą dzisiaj. W latach dziewięćdziesiątych robiłam generalny remont. W pewnym momencie elektryk zawołał mnie do przedpokoju i pokazał jakąś dziwną tulejkę w lampie, która prowadziła do mieszkania sąsiadów. Oczywiście był to podsłuch. Nasi sąsiedzi, skądinąd szalenie mili ludzie, ale widocznie zaszantażowani czy zaszczuci w inny sposób, mieli zainstalowany magnetofon, który włączali, gdy ktoś przychodził do ojca. Kiedy dowiedziałam się, że w IPN-ie są teczki z tymi podsłuchami i innymi donosami, wystąpiłam o odtajnienie tych materiałów. Z bardzo ciężkim sercem, bo bałam się, że wśród donosicieli może być ktoś z przyjaciół moich rodziców, albo ktoś, komu pomogli. To było kilkanaście lat temu, część tych osób jeszcze żyła, utrzymywałam z nimi kontakty, więc naprawdę byłam przerażona – ale po prostu musiałam to wiedzieć. Na szczęście, nie było tam nikogo z tych naprawdę bliskich. Było jednak sporo innych, na przykład taki donosiciel o intrygującym pseudonimie: „21 i ½”. Wie pan, skąd się to wzięło?

Nie mam pojęcia!

Okazało się, że to był hydraulik, który robił u nas w domu różne prace. Ojciec rozmawiał z nim o polityce, jak to on, między innymi o konflikcie izraelsko-arabskim. Ten zaś wszystko zapamiętywał i raportował. A pseudonim? Sprawdziłam – 21 i pół to rozmiar klucza, którego używał do otwierania rur w naszym mieszkaniu.

Próbowano też zablokować publikację jego książkowego dzieła życia,
Rozmów z katem...

Wszystkie wydawnictwa po kolei odmawiały publikacji. Ossolineum, Iskry – wszyscy się bali. Dostałam nawet taką teczkę niedawno od dyrektora Iskier, Wiesława Uchańskiego, z maszynopisem *Rozmów z katem* złożonym przez ojca w tamtych latach i napisem „Odrzucono”! Partia bała się tego tekstu, bo był jednak świadectwem więźnia politycznego. Ludzie zaczęliby zastanawiać się, dlaczego akowiec siedział w jednej celi z nazistowskim zbrodniarzem wojennym. Oczywiście, władza nie miała nic przeciwko, żeby pisać o faszystach, ale ponieważ ojciec żył, był aktywny i znany wielu ludziom, nie mogli więc tego tak do końca zmanipulować. W końcu „Odra” odważyła się puścić *Rozmowy z katem* w odcinkach. Redaktorem naczelnym był wówczas Tymoteusz Karpowicz, a w kolegium redakcyjnym zasiadał wspomniany już Andrzej Szczypiorski. On też napisał przedmowę do tego wydania z „Odry”, która zaczynała się od zacytowania uzasadnienia wyroku sądu PRL-owskiego z 1956 roku, uniewinniającego i rehabilitującego Kazimierza Moczarskiego. Był to ważny tekst, bo w pewnym sensie świadczył o tym, że państwo przyznaje się do swojej winy wobec Armii Krajowej i zwraca jej honor, uznając jej zasługi w walce przeciwko Niemcom. Proszę sobie wyobrazić, że cenzura kazała skreślić właśnie ten fragment! Państwo po raz kolejny wyparło się tego, do czego przyznało się wtedy ustami sędziego Zdzisława Zięby, który wygłosił tę piękną mowę w 1956 roku. We współczesnych wydaniach możemy już przeczytać przedmowę Szczypiorskiego taką, jaką ją napisał.

Czy ojciec dzielił się z panią otwarcie wspomnieniami z czasów wojny, okupacji?

Tak, wiele mi opowiadał. Pamiętam na przykład, że zawsze podkreślał, ile miał szczęścia w różnych sytuacjach. Na ogół był bardzo punktualny, nigdy się nie spóźniał i wymagał tego od innych. Ale zdarzyło mu się, i to więcej niż raz, że kiedy podczas wojny spóźnił się z jakiegoś powodu na umówione spotkanie, to uratowało mu życie, bo na przykład wybuchała bomba w lokalu, albo gestapo robiło nalot. Opowiadał mi, jak w 1944 roku, tuż przed powstaniem warszawskim, odbili 17 więźniów ze szpitala Jana Bożego przy ulicy Bonifraterskiej. Moja mama stała na rogu na czatach, a ojciec na czele oddziału z bronią w ręku uwolnił ich z transportu. Oczywiście, ponieważ ojciec cały czas był w ruchu, biegał z redakcji do redakcji i od telefonu do telefonu, opowiadał mi to wszystko we fragmentach, przy okazji lub też jak przysłuchiwałam się jego rozmowom z przyjaciółmi. Ja sobie to musiałam częściowo sama uporządkować, rekonstruować. Ponieważ środowisko ojca składało się w dużej części z byłych akowców, jako mała dziewczynka byłam święcie przekonana, że do więzienia po prostu każdy musi prędzej czy później trafić. No bo jeśli taka elegancka przyjaciółka rodziców, pracownica Instytutu Wzornictwa, zawsze pięknie ubrana i modnie ostrzyżona, siedziała dziesięć lat? Dopiero później dowiedziałam się, że była w kontrwywiadzie AK.

Przeczytaj również: Kazimierz Moczarski po Powstaniu Warszawskim –
pisze Grzegorz Mazur

Na pewno jednak ojcu bardzo zależało na tym, żebym znała historię. Uczył mnie po swojemu, żebym nie była zdana na to, co usłyszę w szkole. Mówił mi o Katyniu, o innych zakazanych kartach, ale nie wpajał mi nienawiści do systemu, w którym żyliśmy. Ojciec był pragmatykiem, wiedział, że będę musiała żyć w takim świecie, jakim on jest. Nie przestał wierzyć w swoje ideały, pozostał demokratą i na swój sposób optymistą, wiedział, że sama będę w stanie osądzić, co jest słuszne, a co nie.

Czy przywiązywał dużą wagę do kwestii bytowych?

Zdecydowanie. Czyste mieszkanie, prawidłowe jedzenie, dobre ubranie. I meble! Nie znosił niewygodnych foteli, chodził za krzesłami tak długo, aż znalazł takie, jakie chciał. Ubrania też kupował takie, żeby wytrzymały lata. Nie potrzebował luksusu, ale na pewno wolał wydać nieco więcej pieniędzy za lepszy jakościowo przedmiot niż zadowolić się byle czym. Jeśli chodzi o jedzenie, zawsze zastanawiało mnie, dlaczego zawsze opowiadał, jak to lubi jagnięcinę. Gdzie on mógł dostać jagnięcinę w PRL? W domu nigdy jej nie jedliśmy. Ale on ją pamiętał z czasów studiów we Francji i to wtedy w niej tak zasmakował.

Nie oszczędzał też na prezentach. Zawsze kupował ładne rzeczy, szczególnie kobietom. Torebki, perfumy, ładne drobiazgi. Nie wiem, jak on to robił, niewątpliwie kosztowało go to wiele wysiłku, nie mówiąc już o pieniądzach. Lubił kino, teatr, koncerty, kupił mi adapter i bardzo lubił słuchać Ewy Demarczyk i Bułata Okudźawy. Miał dużo książek i piętrzące się kolumny gazet. Kochał dobre obrazy Skądinał jego najmłodszy brat, Janek Moczarski, był podobno bardzo uzdolniony plastycznie, dużo malował. Ojciec silnie przeżył jego śmierć – zastrzelili go gestapowcy w ruinach getta. Udało mu się nawet ustalić ich imiona i nazwiska, kto brał udział w tej egzekucji. Jeden z tych Niemców odsiadywał wyrok obok celi, którą ojciec dzielił ze Stroopem. Gdy się o tym dowiedział, wpadł w szal. Ogromnie kochał brata, był od niego starszy o dziesięć lat. Tej jednej zbrodni nigdy nie mógł zapomnieć ani wybaczyć... W więzieniu napisał nawet traktat o sztukach pięknych, ale niestety zaginął. Pisał go we Wronkach, odkąd pozwolili mu w końcu mieć ołówek i trochę papieru, ale wszystko musiał oddawać do depozytu. Różne rzeczy udało mu się potem odzyskać, ale tych zapisków najwyraźniej nie.

Słowem, doceniał urodę życia.

Bardzo. Lubił kwiaty, poezję, sam zresztą pisywał wiersze. Miał niewątpliwie i rys romantyka, cenił samotność, introspekcję. Kochał kobiety! Zwłaszcza inteligentne, o których zawsze wyrażał się z szacunkiem i podziwem. Był pod wielkim wrażeniem mecenas Anieli Steinsbergowej, która była jego obrończynią w procesie rehabilitacyjnym. Kobiety też bardzo za nim przepadały, pewnie dlatego, że potrafił słuchać i zawsze miał coś miłego do powiedzenia. No ale właśnie – z tym wszystkim w parze szło umiłowanie absolutnej logiki, porządku, racjonalizmu. Intelakt był tą cechą, którą u ludzi cenił najwyżej. Moja matka też miała w sobie taki rys. Kiedy uczyłam się z nią czegoś, na przykład historii, to robiła mi bardzo staranne konspekty, rozpisywała równoległe wydarzenia, które działy się w tym czasie na świecie, uzupełniając to o rzeczy, których nie było w podręcznikach, pewnie częściowo z własnej wiedzy, częściowo z innych źródeł. Ceniła porządek i metodę.

Być może to te cechy pozwoliły im przetrwać okrutne śledztwo?

Być może. Myślę, że to jego dom i patriotyczne wychowanie – jego dziadowie walczyli w powstaniu styczniowym, ojciec, Jan Moczarski był dyrektorem w gimnazjach w Kole, Lipnie i Kuluszkach, w czasie zaborów robił wszystko by zachować polskość, zakładał tajny skauting i drużyny bartoszwowe... Matka była nauczycielką, uczyła języka polskiego. Ojciec też nigdy specjalnie nie wypominał, choć dobrze o tym pamiętał, że ten czy inny się złamał w więzieniu, bo dobrze wiedział, jak ci ludzie byli traktowani.

Te straszne tortury, ale i fakt, że ostatecznie wyrok śmierci nie został wykonany, wskazują, że śledczym bardzo zależało na jego zeznaniach.

Tak, musiało chodzić o informacje, które ojciec jako pracownik Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK posiadał. Znał przecież wszystkich, wiedział bardzo wiele, również o ludziach, którzy byli aktualnie u władzy. To byłaby żyła złota dla bezpieki, gdyby udało mu się zmusić go do zeznań, bo szukali haków na wszystkich. W przeciwnym razie pewnie zabiliby go od razu. Podczas któregoś przesłuchania ojciec powiedział w końcu, że napisze im listę nazwisk. No i napisał, śledczy pewnie się ucieszyli, ale w końcu zorientowali się, że czytane od góry pierwsze litery nazwisk układają się w napis „pocałujcie mnie w dupę”. Na pewno go za to dodatkowo ukarali, ale ostatecznie co jeszcze mogli mu wtedy zrobić? W pewnym momencie powiedzieli mu, że jego żona, czyli moja matka, umarła w więzieniu. Ona była aresztowana kilka lat po nim, przeszła ciężkie śledztwo na Koszykowej, siedziała na Mokotowie i w najcięższym więzieniu kobiecym w Fordonie. Ojciec wiedział o jej losie tyle, ile mu powiedziano, więc ktoś uznał, że mogą złamać go w ten sposób. Efekt był jednak zgoła odwrotny – ojciec stwierdził, że nic gorszego już go nie może spotkać. Teraz nie miał już żadnego powodu, by iść na jakiegokolwiek układy. Wiele musieli jeszcze wycierpieć, zanim znowu się spotkali, ale przeżyli to wszystko. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie, co musieli czuć, gdy w końcu się spotkali. Cieszę się, że mogę dziś pielęgnować tę pamięć.

Z Elżbietą Moczarską rozmawiał Mikołaj Rajkowski

Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[495]: „Moczarski. Rozmowy z historią”

Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień” [509]: „2025.
Najlepsze”

Fot. archiwum Elżbiety Moczarskiej/FOTONOVA

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
